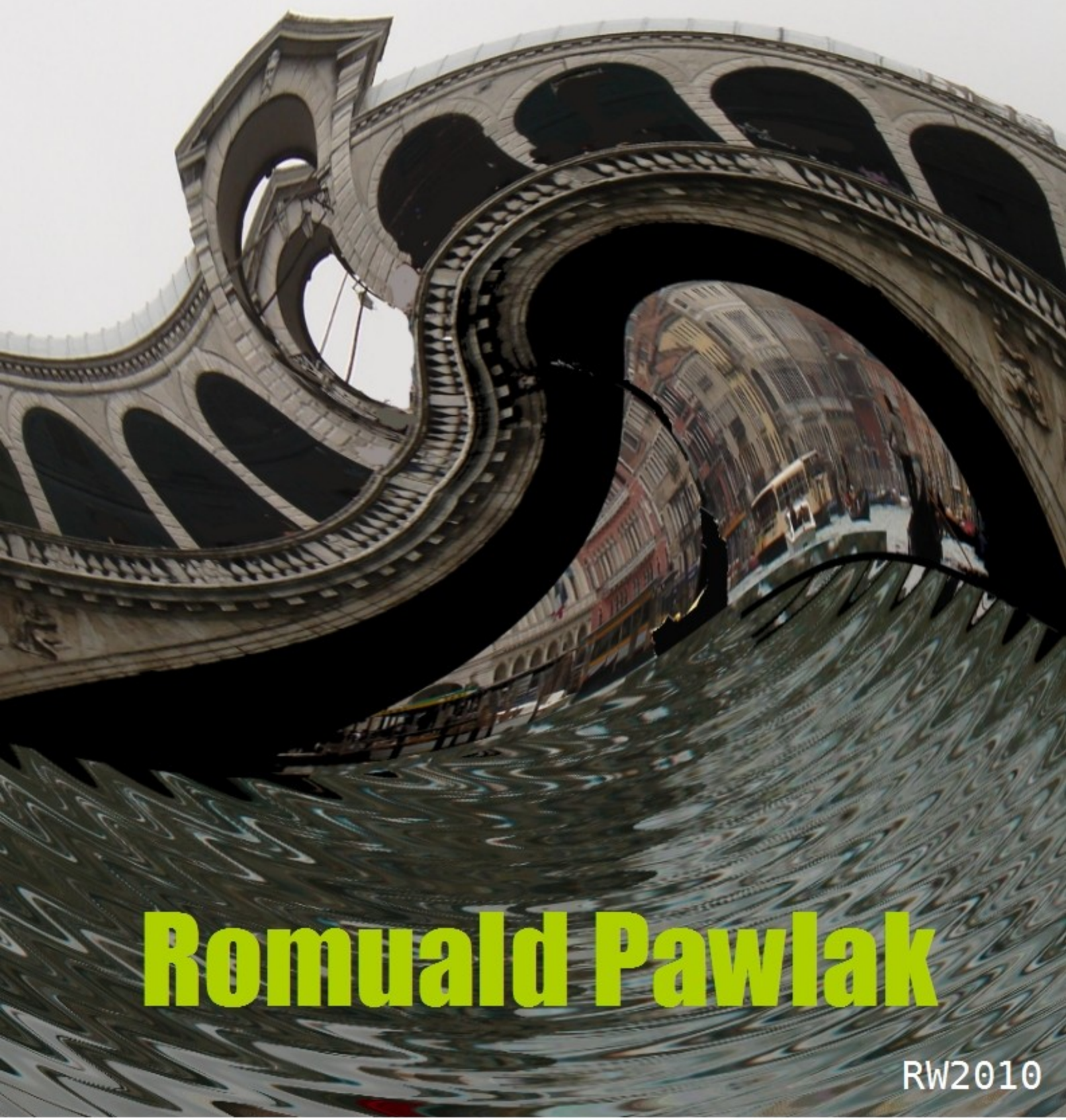


MOST DEMONÓW



Romuald Pawlak

RW2010

ROMUALD PAWLAK

MOST DEMONÓW

Z CYKLU: **Rycerz bezkonny**

Wydawnictwo RW2010 Poznań 2012

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Romuald Pawlak 2012

Okładka Copyright © RW2010 2012

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Dział handlowy: www.marketing@rw2010

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.p

Utwór bezpłatny,
z prawem do kopiowania i powielania, w niezmienionej formie i treści,
bez zgody na czerpanie korzyści majątkowych z jego udostępniania.

Rzece wyraźnie trudno było przyjąć do wiadomości, że w tym miejscu jej koryto zwęża się do marnych stu pięćdziesięciu kroków. To, co traciła na rozmiarze, nadrabiała zajadłością. Na przewężeniu nurt rwał niczym diabeł opryskany święconą wodą, zaś wysokie brzegi gadaninę fal wzmacniały do gniewnego pomruku. Było go słyszeć aż tu, ze ćwierć mili dalej, gdzie na przysadzistej skarpie koło płaskiego kamienia przysiedli dwaj ludzie.

W skupieniu przyglądali się kamiennemu mostowi. Ten śmiałym łukiem spinał oba brzegi Tamizy, opadając pomiędzy pagórki na drogę wiodącą do Balisbury, małego, sennego miasteczko, jakich wiele w Anglii. Przez bramy w szarych, przysadzistych, kwadratowych wieżach, wzniesionych na obu krańcach mostu, niespiesznie ciurkał strumień podróżnych: pieszych, konnych i wozaków na furach pełnych różnorakiego dobra. W promieniach zachodzącego słońca całą konstrukcję spowijał czerwony, magiczny blask płynący z karbunkułów wielkich niby pięść, osadzonych na balustradach i ścianach wież.

– A więc to jest ten wasz ósmy cud świata – stwierdził niedbale Fillegan z Wake, przyglądając się rubinowej poświacie. – Zaiste, robi wrażenie.

Z uprzejmości nie dodał, że most przypomina mu odwrócony do góry nogami i podświetlony podnózek albo niewygodną ławę.

Proboszcz Doe ponuro skinął głową. Na jego usta wypłynął grymas zniechęcenia i zawodu. Wstał, zrobił parę kroków w tył, wreszcie zasepiony zaczął wiercić butem dziurę w ziemi.

– Same z nim kłopoty, panie. Spójrz, ilu strażników potrzeba do pobierania myta i pilnowania tego cudu. A nikt za darmo pracować nie będzie. Jakbym wiedział, w co się pakuję, nigdy bym się nie zdecydował...

* * *

To miał być krótki rekonesans do Wake. Pozostawiwszy Perdigana i jego dziewczynę na francuskim brzegu Kanału, Fillegan ze swoim giermkim przybyli na angielską ziemię.

Rycerz nie był jeszcze gotów na starcie z Ayerminem, który wciąż twardą łapą trzymał rodową siedzibę naszego bohatera. By odebrać mu swe włości, Fillegan musiał lepiej rozeznac się w terenie, poczynając od rozplątania sieci wpływów, jakim podlegał lub jakie posiadał przebrzydły kupiec. Rycerz miał dziką ochotę nasłać na niego paskudnego demona czy inną zaświatową poczware, jednak rozsądek podpowiadał, że powinien okiełznać żądze. Bo cóż pocnie, jeżeli Ayermine uczynił – dajmy na to – zapis testamentowy na rzecz kogoś możnego, dobrze ustosunkowanego, a przez to znacznie trudniejszego do usunięcia? Fillegan mógł walczyć z kupcem, ale wolał nie ściągać sobie na głowę zemsty tutejszej arystokracji.

Zbliżała się pora spoczynku, gdy na horyzoncie zamajaczyły opłotki Londynu. Nie dojechaliby jednak za dnia, a nocnej eskapady rycerz nie chciał ryzykować. Zginąć z ręki jakichś rzezimieszków niemal na progu swego domu, no, to by była piramidalna głupota. Zatrzymali się więc w jedynej przyzwoitej gospodzie w Balisbury, którą od dwóch podłych zajazdów odróżniała głównie cena i brak żebraków w środku. Właściciela stać było bowiem na zatrudnienie wysokiego na siedem stóp wykidajły ostentacyjnie dłubiącego czubkiem sztyletu w zębach. Fillegan od razu podążył do izby na pięterku, Duendainowi zlecając zadbanie o wierzchowce i wieczerzę dla pryncypała.

Zamierzał pomedytować chwilę nad *Pax magica*, dokładniej zaś nad passusem poświęconym odbieraniu rozumu i woli wrogom, by można ich było owinać sobie wokół palca. Niby nic wielkiego, trzeba tylko zdobyć substancję zwaną przez autora „kaczanus cucurydzus”... Trudność zrozumienia tego fragmentu potęgował pewien istotny drobiazg: poza autorem nikt o takim składniku magicznych mikstur nawet nie

słyszał. Skąd więc go wziąć? A może nie należało tego brać dosłownie? Może był to jakiś szyfr dla wtajemniczonych?

Nie zdążył jednak choćby wyjąć oprawionej w czerwone płótno książeczki, kiedy do izby, niby jesienny wicher niosący zeschnięte liście, wpadł Duendain. Za nim nieśmiało wsunął się przyodziany na czarno... duchowny! Minę miał mroczną, wyglądał, jakby właśnie wysłuchiwał grzechów seryjnego mordercy i borykał się z tajemnicą spowiedzi.

Fillegan powitał go skrzywioną miną. Długi język giermka jak zwykle sprowadził na nich kłopoty. Nie mógł to proboszcz sam się upić z rozpaczy, Duendain musiał kłapać dziobem na prawo i lewo? „Co to ja, biskup jestem, żeby go po bratersku pocieszać?” – myślał ze złością rycerz.

Mylił się jednak. Duchowny wcale nie przyszedł po pocieszenie. A jego późniejsza opowieść wyjaśniła przynajmniej tę krwawą łunę, jaką widzieli na horyzoncie i mylnie wzięli za światła Londynu. I którą Fillegan obserwował teraz, bo Doe nie chciał gadać po próżnicy, wołał zaciągnąć rycerza w miejsce, skąd najlepiej było widać skalę jego problemu.

– Tak, panie, naprawdę wyprodukowałem złoto. – Wyrывая rycerza z rozmyślań, Doe stuknął w płaski kamień, przy którym usiedli. – Biskup, mój protektor, pchał mnie na medycynę, bo zdradzałem odpowiednie talenta, ale wszystko na nic, opierałem się z całych sił. Nie wiedział, że zamiast dzieł patologicznych nocami, ukradkiem studiuję księgi alchemiczne. A dlaczego? – Doe podszedł do Fillegana. – Bo mi się most, jasna cholera, zamarzył! Rewolucja społeczna mi we łbie zaświtała!...

Rycerz uśmiechnął się nieznacznie. Spojrzał na most coraz wyraźniej płonący krwawą łuną w miarę przechodzenia zmierzchu w pogodną noc.

– No i zbudowałeś... Cacko prawdziwe, sam król pewnie ci zazdrości.

Doe niechętnie skinął głową.

– No, nie tak od razu, mości Filleganie. Długo mieli mnie za wariata, gdy twierdziłem, że tu, w Balisbury, przerzucę most przez Tamizę. Że odtąd nie trzeba będzie drogi nadkładać, jadąc do Londynu, albo brodu szukać, zwłaszcza kiedy rzeka wzbierze po deszczach. Szacunku nabrali dopiero wtedy, kiedy dowiodłem, że potrafię leczyć, choć stosownych nauk nie pobierałem. Choć gadać nie przestali...

Uśmiechnął się smutno.

– Cóż, talenty talentami, alchemia alchemią, a długo zamiast złota i szlachetnych kamieni udawało mi się uzyskiwać tylko jakieś paskudztwa. Jakies gleje i zaschnięte bobki... Sądziłem, że są niezdatne do niczego, póki nie odkryłem, że część nadaje się na leki. Oj, nie pochwaliliby mnie święty Franciszek za to, że dokonywałem prawdziwej hekatomby tutejszych kur i królików, marnując dobre mięso, próbując przypisać daną maź czy kamień do konkretnej przypadłości...

Westchnął ciężko.

– No i tak czas leciał, aż wreszcie wiosną ubiegłego roku udało mi się wyprodukować złoto. Nie jestem zachłanny, zrobiłem go tyle, żeby starczyło na most, i zbastowałem. Rozpocząłem budowę i pokonując równie wiele trudności, choć w krótszym czasie, stworzyłem te kamienie, co to oświetlają całe dzieło na chwałę Bożą. A niedawno wynajęci ludzie skończyli stawiać most. Tydzień właśnie minął, jak przejechał po nim pierwszy wóz.

Coś jakby łkanie wydobyło się z jego gardła, ale zaraz znów podjął opowieść:

– Prawda, most jak malowanie. Działa we dzień i w noc, jak sobie umyśliłem. Oświetlają go najpierw słońce, później księżyc. Trzeba naprawdę pochmurnego dnia, żeby te moje kamienie przestały się jarzyć niby latarnie. Ale to właśnie z tymi korbunkułami jeden wielki kłopot, panie...

– Kradną? – spytał domyślnie Fillegan. Nietrudno było dojść do takiego wniosku. Imponująca łuna musiała przyciągać uwagę złodziei. Na razie to pewnie

miejscowi wykazywali inicjatywę, ale niech no się tylko dowie przestępcze podziemie Londynu, łodziami zaczął tu słuwać całe wycieczki.

Proboszcz ponuro skinął głową, choć zapewne nie do myśli rycerza.

– A jakże! Trzy już ukradli, choć strażnicy mają ciągle baczenie. A może to oni sami zwędzili? Nie wiem, przecież ich wciąż nie pilnuję. – Doe skubnął w irytacji wargę. – I co, mam kolejnych strażników najmować, żeby pilnowali tych pierwszych?

– A jakiegoś magicznego rozwiązania nie próbowałeś? – podsunął Fillegan. – Związać most i kamienie z miejscem, na ten przykład.

Doe pokręcił głową. Spochmurniał jeszcze bardziej, zaklął pod nosem.

– Przecież mówię, że mi z nieba spadliście. Na czarach się nie znam. Boga prosiłem o radę, ale... Przecież mówię, że trzy kamienie już mi wydłubali, a żadnemu z tych przeklętych złodziei nawet ręka nie uschła! – Zamruczał coś i uściślił: – A przynajmniej ja nic o tym nie wiem.

– I uważacie, że ja tu mogę coś poradzić? – Rycerz wstał.

Proboszcz zebrał się w sobie, ważąc słowa na końcu języka, nim wreszcie wyjaśnił, o co mu konkretnie chodzi.

– Jak twierdzi wasz giermek, paracie się magią. Więc może by jakimś magicznym sposobem odstręczyć złodziei? Popatrzcie na most, pomyślcie, a ja hojnie zapłacę, jeśli rozwiążecie mój problem. Jeszcze parę modlitw do Najwyższego dołożę.

Fillegan udał, że namyśla się głęboko.

– Mogę zrobić małe trzęsienie ziemi – zaproponował po odczekaniu stosownej chwili. – A potem rozpowiecie, że jak kto co ukradnie, to tak samo wielka siła łbem mu zatelepie. Wywróci głowę na nice i tak ją zostawi, mózgiem na zewnątrz.

Mina proboszcza świadczyła, że nie jest to chyba dobry pomysł.

– A jak most runie? – wydusił z siebie Doe.

– No, gwarancji nie daję – zreflektował się rycerz z Wake, bo trzęsienie ziemi, na wywołanie którego od dawna miał chrapkę, mogło zadziałać jak wystrzał z bombardy w stronę komara. – Wasz most wygląda solidnie, ale trzęsienie umiem wywołać niezgorsze.

Doe puścił pod nosem wiązanekę, której nie powstydziliby się najpaskudniejszy parobek z królewskich stajni, gdzie od wieków kwitła intensywna twórczość językowa.

– A duch, panie, jakiś duch? Przecie żeście mag. Wezwijcie jakiegoś ducha, zwiążcie czarami z mostem...

Fillegan zaśmiał się szczerze i serdecznie. Cóż, nie co dzień duchowny namawiał go do wywołania ducha.

– A jak ludzie nie będą chcieli mostu używać?

Proboszcz szeroko otworzył oczy. Widać taka możliwość nie przyszła mu wcześniej do głowy.

Tymczasem rycerz udał, że ziewa.

– Muszę się w izbie zastanowić, z problemem przespać.

W rzeczywistości od pierwszej chwili doskonale wiedział, co trzeba zrobić. Most był nieważny, liczyły się alchemiczne receptury na złoto i kamienie. Karbunkuł wielkości pięści! Czy w tym kraju nie rządzi już król? Na Boga, klechę zaraz zamkną, wezmą na męki – i receptura przepadnie w lochach na zawsze!

* * *

Rankiem Fillegan dowiedział się od gospodyni proboszcza, że Doe w pilnej sprawie musiał wyjechać na parę godzin do jednej wioski pod Balisbury. Rycerz pokręcił się więc po mieście, z uwagą obejrzał kościół dominujący nad rynkiem, ze trzy razy przeszedł most, przekonując się, że marzenie proboszcza przybrało naprawdę konkretne wymiary.

Wreszcie nadszedł wieczór i wysłany chłopak zawiadomił Fillegana, że Doe oczekuje go na plebanii.

Proboszcz mył ręce w miednicy, nacierając je proszkiem zalatującym tatarakiem. Kręciło w nosie tak przeraźliwie, że rycerz tego nie zdzierzył i solidnie kichnął.

– Zaraza... – mruknął znad miski Doe.

Zaniepokojony Fillegan cofnął się prawie pod ścianę. Zbladł.

– Zaraza, panie, z tymi młódkami – ciągnął proboszcz, nie zauważając nagłego zmieszania rycerza. – Żeby duchowny porody odbierał... No, ale się zmarło nie w porę położnej, starej Gaithan, a dziecku pilno było na świat, nie baczyło, że przed terminem... I co wymyśliliście? – Otrząsnął ręce z kropel wody i spojrzał bystro na Fillegana.

– No, jest pewien sposób – zaczął rycerz. – Można by uaktywnić kwantyfiktor fluktuacji nieoznaczoności chaosu.

Proboszcz wytrzeszczył na niego oczy.

– Że niby co? – stęknął. Po chwili dodał z powątpiewaniem: – A to pomoże? – Sięgnął po ręcznik i w skupieniu zaczął się wycierać.

Fillegan wzruszył ramionami. Termin magiczny zaczerpnął z dziełka jakiegoś Einsteina von Zurich, żeby zbić klechę z tropu. A zamiary miał proste jak konstrukcja strzały. Tyle że zamiast grotu, zamierzał użyć granitusa.

– Wybór jakiś macie?

Doe westchnął smętnie. Niemal można było zobaczyć w jego myślach wędrujący mostem strumień złodziei: przeszłych, teraźniejszych i przyszłych.

– Co mi tam... Czyńcie swoją powinność, panie, aby szybko i skutecznie.

Rycerz uśmiechnął się łagodnie. Omiótł spojrzeniem izbę proboszcza, z uznaniem zauważając, że Doe chyba rzeczywiście nie produkował złota dla siebie.

Ani żadnych cennych kolekcji na ścianach widać nie było, ani w ogóle żadnego przepychu. Raczej ubóstwo.

– Nie tak zaraz, wiśta wio i chopaj chwata, proboszczu. A zapłata?

Ksiądz zachmurzył się nieco.

– Ile? Dziesięć funtów w złocie wystarczy? Więcej i tak nie dam, bo nie mam. –

Podszedł do skrzynki stojącej w rogu izby, otworzył i sięgnął po mieszek. Z rozmachem rzucił go na stół.

Fillegan przyglądał się temu z nikłym uśmiechem.

– Nie, proboszczu, nie „ile”. Powinno być „co”. Otóż i owszem, uaktywnię kwantyfikator, ale to ciężka, żmudna robota, ponadto niebezpieczna. Drogich składników, w rodzaju szerszeni karmionych koszoną o poranku koszenilą będę musiał użyć. Spiszecie mi w zamian receptury na wyrób złota i kamieni, wtedy będziemy kwita.

W klechę jakby piorun wstąpił. Gniewnym ruchem zabrał mieszek ze stołu.

– Po moim trupie!

– Receptury – powtórzył rycerz, ostentacyjnie wzruszywszy ramionami. – Godziwa zapłata za ciężką i niebezpieczną robotę.

– Dwie takie receptury za zwykłą ochronę mostu to grube zdzierstwo! – Doe podniósł głos, na jego szyi nabrzmiały grube węzły żył. – Taniej mi wyjdzie jeszcze z tuzin strażników wynająć.

Na to Fillegan uśmiechnął się niby niedźwiedź, który wypatrzył barć ze słodkim miodem i już wie, jak do niej wsadzić łapę.

– Jeżeli tak uważacie... Cóż, szkoda. Miło było was poznać.

* * *

– **P**opatr, jaki ten most piękny – stwierdził rycerz. – Tutejszy proboszcz to naprawdę tęga głowa...

Strażnicy przypatrywali się dwóm spacerującym po moście mężczyznom, przezornie milcząc. Doe płacił im sumiennie, więc nie obchodziły ich fanaberie gości czy współpracowników pryncypała. Choć po prawdzie takich dziwaków, którzy łaziliby przez godzinę w tę i w tamtą nikt w Balisbury jeszcze nie widział.

Duendain nic nie mówił, tylko uważnie przyglądał się konstrukcji, a rycerz hałasował dla odwrócenia uwagi. Był pewien, że strażnicy szybko się znudzą i będą woleli wbijać wzrok we własne buty niż w gadającego wciąż to samo przybysza.

Nagle giermek trącił Fillegana lekko w bok.

– Spójrz, panie! – szepnął. – Ktoś nas śledzi! – Wbił wzrok w skarpe z płaskim kamieniem, skąd niedawno rycerz z proboszczem oglądali most. Teraz przykucnięty za głazem przyglądał się im jakiś ryży młodzian.

Fillegan odmruknął półgębkiem:

– Teraz to zauważyłeś? Nie wiadomo jednak, czy obserwuje nas, czy most.

Gdy już zeszli na brzeg i znaleźli się poza zasięgiem słuchu strażników, wyjaśnił:

– Może interesują go kamienie. Ale to nie nasza sprawa.

* * *

Cień niemal bezszelestnie wślizgnął się do izby przez otwarte okno. Stukając butami, położył coś na stole, potem przymknął okiennice, pozostawiając jedynie wąską szparkę dla świeżego powietrza.

– Masz? – rozległ się w izbie senny głos Fillegana.

W odpowiedzi izbę wypełnił triumfalny chichot.

– Panie, jak mogłeś we mnie zwątpić?!

* * *

Proboszcz okazał się twardym człowiekiem. Jeżeli nawet kradzież czwartego kamienia wzburzyła go, na zewnątrz zupełnie tego nie okazał. Podobnie jak zdziwienia, że Fillegan i jego giermek wciąż siedzą w Balisbury, zamiast ruszyć w drogę.

Co więcej, z wystudiowaną radością zaprosił ich na wieczerzę.

Rycerz zgodził się natychmiast. Miło jest czasem porozmawiać o filozofii, szczególnie wiedząc, że w tle dysputy o ubóstwie kryje się karbunkuł wielki jak pięść i góra złota wysoka jak najwyższe maszty okrętu, którym płynęli przez Kanał.

Wracali z Duendainem w dobrych nastrojach. A już w zajeździe, otworzywszy drzwi, Fillegan stwierdził, że zakończenie dnia jest jeszcze lepsze niż jego początek i środek.

Magiczna pułapka, którą zastawił w izbie, zadziałała. A podejrzenia rycerza potwierdziły się w pełni.

Przynętą, można rzec: serem dla gryzonia, były tu kamienie i księgi, bo rycerz zakładał, że ubrania nikogo nie skuszą, no chyba jakiegoś mola. A myszą okazał się ryży młodzian, ten sam, który obserwował ich podczas oględzin mostu. Został pochwycony z najważniejszą magiczną księgą Fillegana w ręku.

Zwolniwszy blokadę, nasz litościwy rycerz złapał zdrętwiałego przestępcę, żeby ten nie upadł. Odstawił go pod ścianę, opierając jak belę sukna.

– Masz jakieś imię? – spytał.

Ryży wzruszył ramionami. W milczeniu splunął Filleganowi pod nogi.

– Ciekawy zbieg okoliczności, prawda? – mówił rycerz sam do siebie. – My na wieczerzy u proboszcza, ty w naszym pokoju. I szukałeś ksiąg. Fascynujące! – Bystro spojrział na złodzieja. – Włamywacz-erudyta się nam trafił...

Wspólnie z gierkiem związali ryżego, wcześniej wepchnąwszy mu szmatę do gęby.

– A spróbuj hałasować, to na baleron przerobię – zapowiedział mściwie Fillegan, patrząc złodziejowi prosto w oczy. – W nocy się śpi, czy to jasne?

* * *

Rankiem zaciągnęli swoją zdobycz na plebanię.

Na ich widok Doe przybladł lekko.

– Znalazłem w swojej komnacie – wyjaśnił Fillegan. – Nie wasza to zguba?

– Nie moja – burknął proboszcz.

Rycerz popatrzył ponuro na złodzieja. Ten aż skulił się pod jego wzrokiem.

– Trudno, skoroś niczyj, to do rzeki – westchnął teatralnie Fillegan. – Albo zalepimy tobą dziury po kamieniach.

I wtedy wreszcie Doe pękł.

– Przygarnę i naprostuję. Mam wprawę w nawracaniu grzeszników – zaproponował.

– No jak tak, to chętnie oddam. – Rycerz życzliwie skinął głową. – Tylko jeszcze słoweczko z nim zamienię. – I odprowadziwszy ryżego na bok, oznajmił mu półgłosem: – Jak mi wejdiesz w drogę drugi raz, flaki na wierzch wypruję, rozumiesz? – A widząc, że złodziej strzela oczyma na bok i wcale nie słucha, dodał: – A do tego nos utnę.

Potem pchnął włamywacza w stronę proboszcza.

– A w sprawie mostu zdania nie zmieniliście? – zainteresował się, spoglądając na duchownego.

Klecha zaprzeczył ruchem głowy.

– No trudno – podsumował Fillegan. – Duendain, wracamy.

W połowie drogi do zajazdu stwierdził:

– Trzeba będzie powiercić w ranie grubszym patykiem.

Na co giermek tylko oblizał się z ukontentowaniem. Balisbury nie było jednak tak senną miejscina, jak wcześniej myślał.

* * *

Spożywali właśnie śniadanie w głównej izbie zajazdu, z racji płacenia uczciwym złotem zajmując honorowe miejsce pod rozłożystymi rogami jelenia, kiedy do środka wpadł proboszcz Doe we własnej potarganej i wzburzonej osobie.

– Te szubieniczniki znowu cztery kamienie mi ukradły! – krzyknął od wejścia.

Fillegan rzucił Duendainowi szybkie spojrzenie. Ten dyskretnie wzruszył ramionami i w nagłym przyływie zainteresowania zajął się polewką z mięsem.

– Czyżbyście przystali na moje warunki, księżu? – rzekł słodko rycerz, zamaszystym ruchem ręki zapraszając duchownego do stołu. – Aż trudno uwierzyć, ile to się może zmienić w tak krótkim czasie...

Doe ciężko przysiadł obok na ławie.

– Już mnie tak nie katujcie! Zgoda, mówię! Zgoda, no zgoda, co mam jeszcze powiedzieć?

– Niech mi proboszcz rękę poda – mruknął pod nosem Fillegan.

Klecha z wahaniem wyciągnął prawicę. Na to rycerz tylko uśmiechnął się szeroko.

– Ech, wy tak dosłownie... Ale skoro zgoda, to wy idźcie po receptury, a ja przygotuję wszystko co trzeba i wieczorem, gdy słońce i księżyc zaczną mieszać swe światło, spotkamy się przy moście.

Po chwili dodał do pleców duchownego, który już pędził, aby wykonać rozkazy:

– Aha, tylko most trzeba będzie zamknąć, ludzi na bok, najlepiej aż za wzgórze odepchnąć, żeby nie przeszkadzali. Niech burmistrz wyda strażnikom rozkaz, aby mi nikt nie przeszkadzał. Chcę mieć wolną rękę. Dacie radę?

Proboszcz ponuro skinął głową.

– Co mam nie dać, jak burmistrz Towney z brudnych butów mi jada – burknął. – Jak i wszyscy tutaj, poza tymi złodziejami, daj Boże miłosierny, niech ich robaki żrą żywcem!

* * *

Fillegan dłuższą chwilę przyglądał się marnemu i źle wyprawionemu pergaminowi o nieregularnych kształtach, na którym zostały spisane interesujące go receptury. Wreszcie skrobął palcem jeden szczególnie malowniczy kleks i przyjrzał mu się pod gasnące słońce.

– Psie kapki? – rzekł, a w jego tonie zabrzmiało zdumienie. – Ćwierć kiltu szczodrego Szkota? Ech, nie wiem... Co do psa, rasowy czy kundel? A ten kilt to ma być ćwiartka przednia czy tylna?

Doe ponuro przyglądał się oględzinom. Jeszcze bardziej ponurym spojrzeniem wodził po moście.

– Pies musi być myśliwski – burknął. – A ćwiartka jest bez znaczenia, może być i zachodnia, jak wam odpowiada.

Rycerz w zdumieniu uniósł brew. Oderwał wzrok od pergaminu, spojrzał na twarz proboszcza.

– Jakże to tak „bez znaczenia”? – prychnął, a w jego oczach dało się wyczuć pogardę dla amatorów tylko psujących obraz profesji i rynek zamówień. – I złoto wychodziło wam tej samej próby przy kundlu i królewskim wyżle?!

– Szlag! – warknął Doe. – Most zamknięty, a wy śledczego odgrywacie, panie! Do roboty!

Fillegan wyprostował się na całą swoją mikrą wysokość. Nadał policzki, poczerwieniał na twarzy... i wypuścił powietrze, bo go zakłuło w dołku. Ach, to niezdrowe angielskie powietrze, od którego już się odzwyczyił!

– Idę – rzekł. Zabrzmiało to jednak niepewnie, mimo że rycerz z Wake nigdy nie miał problemów z przekraczaniem rzek. A odkąd poznał parę sztuczek magicznych, nie miał nawet problemów z mytem.

Most z obu stron został oczyszczony z podróźnych, co dało efekt dokładnie odwrotny od zamierzonego: chyba całe Balisbury zbiegło się, jakby przyjechali komedianci albo wóz z piwem wpadł do rowu i zawartość z wolna wyciekała z beczek. Fillegan najchętniej rzuciłby w tej chwili na wszystkich gapiów urok ślepoty – jednak w żadnej z ksiąg nie znalazł objaśnienia, jak należy to czynić. Mógłby użyć czaru snu, ale to by dopiero było gadania...

Na szczęście był przygotowany na takie okazje: wiózł ze sobą kolisty składany parawan z cienkich i lekkich deszczulek oklejonych jeszcze cieńszą, niemal pajęczą czarną materią. Dał bandycką cenę kupcowi powracającemu z Jedwabnego Szlaku, za to mógł się teraz odgrodzić od widzów. Najważniejsza była jednak nie sama intymność czarowania, lecz wymalowane na jedwabiu smoki. Robiły wrażenie nawet wtedy, gdy Fillegan tylko udawał, że używa magii.

„Właściwie wtedy robią największe wrażenie” – westchnął z żalem.

Zamierzał wywołać granitusa, demona skalnego. Grudkę najtwardszej alpejskiej skały woził w bagażu, pozostałe składniki także. Spojrzał w niebo – księżyc wspiął się już na nieboskłon, ale słońce jeszcze nie opadło poza widnokrąg. To była magiczna pora, kiedy można wykorzystać świetlne nici obu ciał niebieskich i związać granitusa z mostem i kamieniami.

Ułożył grudkę pod czterema szczapkami dębu, rzucił trzy liście kosoliny zajęczystej, skropił makabrencją soczystą, a wreszcie dał nasienie z niezakwitłej dzięcieliny.

– Kurkum – zaczął. – Urrum chrum pakum mach!

Błysnęło i spod czterech patyków wypełznął warkocz dymu. Z wolna formował się w spiralę skręconą z czterech włókien...

* * *

Słodki jest sen strudzonego maga. Pasma mocy owijają się w kołyskę fascynujących wizji, haremowe dziewczęta nie zadają głupich pytań, a smok usłużnie przypala świeczkę w izbie, kiedy zmierzch zaczyna zacierać litery na stronicach...

Okropne jest przebudzenie strudzonego maga, niebezpieczne i mocno ryzykowne dla wszystkich znajdujących się w pobliżu. Na wpół rozbudzony znawca czarów może klątwę rzucić od niechcienia, w robaka kogoś zamienić albo w proch, który zdepcze potem bosymi stopami, zmierzając do wiadra w kącie...

Ale najstraszniejsze przebudzenie maga to takie, jakie przydarzyło się tej nocy Filleganowi. Dostał w bok mocną sójkę, aż prawie pękło mu żebro i rycerzowi zabrakło tchu, by plunąć żywym ogniem na zdrajcę i zbrodniarza, który go tak potraktował. Skręcił się z bólu, przysięgając sobie, że osobiście, oso-biś-cie posieka Duendaina na kawałki i każdy członek nabije na wi...

Gdy rozkleił powieki, zobaczył nad sobą szarą z przerażenia twarz proboszcza. Ten znów go szarpnął i tchnął chrapliwie:

– Obudźże się, człowieku! Tam się coś dzieje!

Fillegan powoli dochodził do siebie. Ból w boku przygasł do przykrego ćmienia. Przypomniał też sobie, że dał Duendainowi wolne na tę noc. „I proszę! – pomyślał z goryczą. – Tylko go spuścić z oczu, od razu kłopoty”.

– Na moście! – gorączkowo powtórzył Doe. – Spapraliście robotę, panie!

Teraz dopiero rycerz oprzytomniał całkowicie. Słowa duchownego dotarły do niego z całą mocą, a słodkie sny uciekły z wrzaskiem.

– Przecież wszystko było dobrze – stęknął i usiadł na łóżku, masując bok. Przemyślał, jakim sposobem proboszcz dostał się do izby, póki nie przypomniał sobie, że ze względu na Duendaina nie założył magicznej blokady na drzwiach i okiennicach.

Ksiądz z goryczą pokiwał głową.

– A tak mnie coś tknęło, żeby ludzi nocą po moście nie puszczać, poczekać do rana – zaczął, przysuwając sobie drewniany zydeł. Usiadł naprzeciw Fillegana. – Postanowiłem popatrzeć, co też ów demon mostowy będzie robić.

Rycerz potarł szorstki policzek i pytająco zerknął na klechę. Ten wzruszył ramionami.

– Długo nic się nie działo, aż nagle most spowiła czarna mgła wypływająca z punktu położonego jakąś stopę ponad lustrem wody. Nigdy takiej nie widziałem. Jest gęsta, nawet światło rubinów z trudem się przez nią przedziera. A ze środka zaczęły dobiegać wrzaski, jakby sam diabeł tam siedział i wycinał bolesne odciski. No to przybiegłem, bo gwarantowaliście spokój! Demon miał być niewidzialny, a tu taki pasztet!

Nasz bohater w miarę opowieści proboszcza zdumiewał się coraz bardziej. Wreszcie tak był tym osłupieniem napchany, że już więcej by nie weszło, nawet gdyby dopychać nogą jak podróżny kufer.

– Granitusy nie wrzeszczą – stwierdził wreszcie z frasunkiem.

Doe roześmiał się nieprzyjemnie.

– A co to, ja nie wiem? Tłumaczyliście, to i pamiętam, że niewidzialny i niesłyszalny miał być, na kamieniach mostu i karbunkułach skupiony. Tyle że czarną mgłę widziałem, krzyki słyszałem. Pijany nie jestem, a samemu na most wracać ochoty nie mam. Zresztą w ogóle na nic nie mam ochoty, chętnie bym się pod ziemię zapadł, taka mnie sromota spotyka. Ot, karze Bóg moją pychę, ciężko karze... – Proboszcz podszedł do okiennic i otworzył je, wpuszczając do środka nocny ziąb. Widać już było granatowiejące niebo, pierwszą zapowiedź świtu. – Zbierajcie się, panie, trzeba coś zaradzić, zanim gawieź obu nas uzna za pomocników diabła.

* * *

Na pół mili od mostu nie zaśpiewał ptak, nie zagrały nawet pasikoniki. Trawa rosła w napiętej ciszy. Ani jeden powiew wiatru nie poruszył liśćmi. Natura przyczajona w ostępach i matecznikach czekała na dalszy rozwój wydarzeń. Fillegan także miał ochotę gdzieś skrycie zalec. To pragnienie bardzo się nasiliło, kiedy znad rzeki dobiegły ochryple wrzaski wibrujące w uszach niby jęki ranionego łosia, czasem bulgotliwe i przytłumione, jakby zwierz wsadził głowę w bagienne blocko.

– Sami słyszyście, panie – ponuro stwierdził Doe, nie przerywając marszu w stronę mostu wciąż spowitego ciemnym oparem, choć brzask począł już rozjaśniać okolice. – Zdycha ten wasz granitus albo co?

„A żebym to ja wiedział” – pomyślał z nagłą rozpaczą nasz mag. Przecież po raz pierwszy posiłkował się skalnym duchem. Zasadniczo jego zastosowanie było niewielkie, w demonologii uchodził za bydlę o niskiej inteligencji, zdolne wykonać jedynie proste prace. Siedzieć i naprawiać pęknięcia w budowli proboszcza, odtrącać łapy wyciągające się po kamienie – to tak. Ale już wznieść taki porządny most – nie. Za głupi. Tu trzeba by wynająć prawdziwego dzina, najlepiej zaś nie takiego zwykłego dzina lampowego, tylko *Dżinusa breslausa*, przez niektórych badaczy zwanego też dżinksem, dinksem albo dynxem, mylonego w literaturze ze sfinxem.

No i żeby chorował? W swojej praktyce Fillegan nigdy się nie zetknął z najmniejszą choćby wzmianką, że duch może chorować. Duchy były albo zdrowe, albo ubite. Ewentualnie nabite w butelkę.

„Cóż – pomyślał – zawsze musi być ten pierwszy raz...”

Tymczasem minęli kordon strażników, którzy w świetle pochodni wypatrywali z nietęgimi minami, czy z mostu nie sfrunie na nich jakieś straszdyło. Proboszcz i rycerz również stanęli w bezpiecznej odległości.

Opar koncentrował się pośrodku konstrukcji. Tam był najgęstszy, a wyraźnie rzedł na brzegach. Wrzaski z wnętrza ciemnej chmury dobiegały ich teraz bez

przeszkód i powiedzmy to sobie wprost: były to odgłosy przerażające, porażające i prowokujące (do natychmiastowej ucieczki).

– No, czyńcie swą powinność – grobowym głosem stwierdził ksiądz. – Albo cokolwiek, byle zlikwidować ten... tę... to paskudztwo!

Może i rycerz by coś uczynił, gdyby naraz z wnętrza obłoku nie dobiegł odgłos przypominający chrupanie kości czy też mielenie twardych kamieni. To nieco speszyciło rycerza. Zatrzymał się wpół kroku.

– A może by tak użyć wody święconej? – spytał niepewnie.

Doe roześmiał się strasznym głosem, od którego Filleganowi przeszły ciarki po grzbiecie.

– Zawsze noszę ze sobą buteleczkę wody święconej, ot tak, na wszelki wypadek. I co sobie myślicie, nie użyłem? A diabła tam, nic nie pomogło! Modlitwa też. – Goryczą proboszcza dałoby się kroić deski, takie twarde nuty w niej pobrzmiwały. – Ciekawą moc wywołaliście, nie ma co... A teraz ją odwołajcie tam, skąd przyszła. Ja już wolę przepłacać strażników, panie...

Rycerz popatrzył na most. Chmura wisiała jak przedtem. Ale... zdało mu się naraz, że słońce zaczyna przebijać przez ten ponury opar. Dostrzegął jakieś kształty... zarysy kończyn...

Nagle ponad chmurę wychynał ni to kobold, ni to gnom. Szary na twarzy, nieforemny, rzekłbyś, kanciasto-brylasy, iście podobny do wizerunków przedstawiających dojrzałego granitusa.

– Może miał zły sen? Albo przejadł się kamieniami? – westchnął z nadzieją Fillegan. – Bo to skalny duch jak malowanie, proboszczu.

Duchowny spojrział na niego z nadzieją. I wtedy stało się to, co w takich przypadkach zwykle bywa: miłe złudzenia ustąpiły pod naporem brutalnej rzeczywistości. Z oparu obok granitusa wyłonił się... człowiek. O ile uznacie za przedstawiciela tego gatunku chudego, wysokiego na sto stóp kolosa o rysach

kanciastych, ponurych, wyciągającego długie łapska w stronę biednego ducha skalnego. Granitus ze świdrującym w uszach piskiem przypominającym wodzenie diamentu po szkle, usiłował się od niego odsunąć.

Stanowczo należało coś zrobić i to właśnie rycerz z Wake uczynił.

– Umma gumma durna est! – krzyknął, splatając dłonie do znaku Apfi. – Fruta safuta bimba dong!

Chmura z cmoknięciem wessała się sama w siebie, zniknęła z wilgotnym „pluff”. Nic już nie paskudziło proboszczowego mostu, nawet karbunkuły rozblęły żywym, krwistym blaskiem.

– C-co t-to było? – stęknął Doe.

– Ja go znam – ponuro stwierdził Fillegan. – To duch Marcusa Vinieta, rzymskiego inżyniera, który próbował bić drogi przez alpejskie lodowce. Wszyscy pukali się w głowy, ale on nie ustawał w wysiłkach. No i się zmarło biedakowi na jakiejś przełęczy. A teraz straszy na drogach całej Europy. Zaraza jakaś, sam się pojawia, a niczym go spacyfikować nie można. Chyba żeby drogi i mosty przestać budować.

Proboszcz nadal z niedowierzaniem spoglądał na swoją budowlę, jakby spodziewając się najgorszego, czyli zstąpienia samego Szatana.

– Odesłałem go do diabła, czyli tam, skąd przybył – mruknął rycerz. – Według ksiąg, na jakiś czas mamy spokój. Problem w tym, że jak mi się wydaje, pociągnął za sobą granitusa. I teraz mój skalniak mostu nie strzeże, trzeba by wywołać następnego...

Doe rozjaśnił się cały. Na jego nalanym obliczu widać było wyraźną ulgę.

– Niech już tak zostanie! – zawołał. – To i tak lepiej niż było... przed chwilą. A ludzie bać się będą, już moja w tym głowa! Co jakiś czas w kazaniu przypomnę, postraszę... i wystarczy.

Fillegan z aprobatą skinął głową. Recepturę miał, skalniaka przywołał – i choć ani się domyślał, po jaką cholerę granitus ściągnął Vinieta, to per saldo rycerz wyszedł na swoje. Pora było rozwinąć żagle, wziąć kurs na Wake. I tak za dużo czasu tu zmitrężyli.

– Zgoda, jeśli tak wam pasuje. To cóż, wracajmy – rzekł. Tym chętniej, że zapasowej skały odpowiedniej do wywołania granitusa nie posiadał.

Doe pograżył się w myślach. Pewnie nawet nie dotarły do niego słowa Fillegana. Naraz odwrócił się gwałtownie ku rycerzowi.

– Wypada chyba sprawdzić, czy... no, bo skoro to mój most... – zaczął z wahaniem, jakby poszukując potwierdzenia słuszności tego pomysłu.

Spojrząwszy na proboszcza z ukosa, Fillegan uśmiechnął się chytrze.

– Wiary pełnięcie, to i słusznie czynicie. Przecież kogo jak kogo, ale was Bóg w łasce trzyma – stwierdził pogodnie. – Bez obaw, granitus niegroźny, ludzi nie jada. A zresztą obaj z Vinieta zniknęli przecież.

Te pozornie życzliwe słowa przyniosły zamierzony efekt: Doe oklapł jak przekłuty rybi pęcherz.

– A może jednak konnego puszcze? – westchnął. – Szybciej będzie, prawda? – I nie czekając na odpowiedź rycerza, pobiegł w stronę gromady strażników broniących wstępu na most. To znaczy mających bronić, bo oba duchy skutecznie odstraszyły wszystkich gapiów i chętnych do przeprawy. Ochrona stała się więc zbędna.

Nie w ciemną bicia strażnicy długo negocjowali warunki dalszej współpracy. Ostatecznie jeden z nich galopem ruszył do Balisbury. Po kilku dłużących się chwilach przywiózł stamtąd... złodzieja, którego wcześniej rycerz oddał proboszczowi pod opiekę.

Ten rozpaczliwie szukał wzrokiem drogi ucieczki, kwiczał, ale gdy podszedł do niego Doe, zmartwiał. Wysłuchał krótkiej przemowy księdza, w końcu dał się wsadzić na spokojnie skubiącego trawę gniadosza, marną chabetę. Proboszcz

pobłogosławił ryżego rzezimieszka niezdarnym znakiem krzyża, który przypominał opędzanie się od much, po czym jeździec galopem ruszył przez most, rozpędzając się coraz bardziej. Fillegan zszedł mu z drogi, bo zostać stratowanym to naprawdę nie jest śmierć warta eposu, a taki właśnie zamierzył sobie kupić u jakiegoś wierszoklety na zwieńczenie żywota.

Złodziej był już na moście. Gnał niby wichur straszący jesienne liście, walił piętami w boki konia. Ten widać wyczuł lęk jeźdźcy, bo chrapnął i jeszcze przyspieszył. Po kilku susach już nie widziało się człowieka i wierzchowca. Zdało się, że to rączy centaur śmignął na drugą stronę.

Wybuchła wrzawa wiwatów, a sam jeździec, uszczęśliwiony do granic wytrzymałości serca, krzychał chyba najgłośniej. Rwał trawę garściami i wyrzucał w powietrze, pozwalając jej opaść na twarz i pierś.

Filleganowi przyszło na myśl, że tak zwykle postępują zbrojcy, gdy po udanym napadzie z dzikim rechotem kąpią się w dukatach i drogich kamieniach. Ale widać dla ryżego rzezimieszka widok trawy był wystarczającym skarbem. Więc i rycerz odetchnął głęboko. Przynajmniej pozbycie się demonów poszło dobrze.

Tymczasem złodziej już powracał stępa, majestatycznie, napawając się własną odwagą i triumfem. Na samym środku mostu przystanął, jakby chciał wszystkim unaocznić wielkość odniesionego zwycięstwa.

Naraz za jego plecami z nicości wyrosła łapa. Właściwie była to dłoń, ludzka w dodatku, tyle że wielka jak trzy woły. Złapała wierzchowca za zadnie nogi i uniosła ku górze, strząsając jeźdźcę na most. Rzezimieszek zerwał się na równe nogi i począł uciekać tak szybko, że zapewne pobił wszystkie olimpijskie rekordy ustanowione w zamierzchłej przeszłości przez Greków.

Tymczasem Vinietus, który ujawnił się już w całej okazałości, podniósł gniadosza na wysokość swych wielkich oczu. Po kolei wyrywał biednemu

wierzchowcowi wszystkie nogi, wreszcie zacisnął dłoń i wypuścił końskie wnętrzności do rzeki.

Dopiero gdy pędzący co sił złodziej minął sparaliżowanego rycerza, ten ocknął się ze stuporu i ruszył za nim. Gonił ich skrzekliwy chichot demona, który słyhać było chyba aż w Londynie.

Dobiegając do grupy białych ze strachu strażników, zauważyli, że proboszcz zasłabł. Vinietus nadal się naśmiewał, ale nie przekroczył granicy mostu, zaczęli więc cucić klechę.

Pierwszych słów, jakie ten wypowiedział po ocknięciu się, nie powstydzily się najczarniejszy sługa Jego Piekielności.

Druga sekwencja, skierowana w stronę niejakiego Fillegana z Wake, brzmiała jeszcze paskudniej. Wręcz plugawie, jakby duchowny terminował nie w seminarium, tylko w londyńskich dokach.

* * *

Cały dzień Fillegan spędził na rozważaniach, co poszło nie tak. Przeglądał formuły, spoglądał w gwiazdy. Raz nawet postanowił zasięgnąć rady prostego ludu, czyli w tym przypadku Duendaina, który za nic sobie mając kłopoty pryncypała, zwinął się na swojej części łóżka i bezczelnie chrapał.

– A gdyby tak jednak trzęsienie ziemi, co? – zapytał rycerz, budząc niewdzięcznika. Kiedy jednak w mętnych jeszcze od snu oczach giermka wyczytał odpowiedź, skinął głową i wzdychając ciężko, podszedł do okna.

Może było to tylko wytworem chorej wyobraźni, ale wydało mu się, że słyszy dobiegający z nad rzeki ironiczny chichot Vinietususa.

Księgi twierdziły, że odesłany przy pomocy odpowiedniego znaku demon nie powracał nigdy w to samo miejsce przed upływem wielu lat. Jednak teoria teorią, a eksperjencja dowiodła czego innego.

* * *

Dopiero następnego dnia raniem nasz bohater zebrał w sobie odwagę i poszedł sprawdzić, czy Doe czuje się lepiej. Gospodyni zaprowadziła gościa do pokoju, w którym leżał proboszcz. Pół głowy miał obłożone zimnym kompresem.

– Wy mi tu zdrowia nie życzcie – burknął niechętnie w odpowiedzi Filleganowi – tylko pomyślcie, jak sprawę wyprostować.

Rycerz z namysłem przechadzał się po pomieszczeniu, w skupieniu oglądając krzyż i licząc plamy na ścianach.

– Skoro znak Apfi nie pomógł, to ja już właściwie niewiele mogę zrobić – wyznał wreszcie. – My, magowie, też podlegamy ograniczeniom.

Duchowny prychnął. Wyraźnie dało się w tym odgłosie słyszeć sarkazm. Wstał z łóżka, odrzucił kompres, który z mokrym cmoknięciem wylądował w kącie obok komody.

– Jak nie wierzycie – ze złością warknął Fillegan – to spróbujcie modlitwą zmusić pełny pęcherz, żeby się sam opróżnił bez potrzeby zajścia do wychodka. Pono Bóg potrafi czynić cuda, jeżeli go dobrze poprosić, czyż nie tak mówicie wiernym na kazaniach?

Doe wzruszył ramionami. Sięgnął do komody, wyciągnął stamtąd wino i naczynia. Nalał.

– Powiedzieliście, że niewiele możecie zrobić. Niewiele, a nie, że nic, prawda? – zauważył, posuwając jeden z pucharów w stronę rycerza. – Z czego wnioskuję, że coś jednak uczynić można, tylko wam nie w smak.

Fillegan z wahaniem – czy aby klecha nie uraczył go cykuta? – upił łyk wina. Skinął głową w uznaniu dla jakości mszalnego, wreszcie splótł dłonie, które zaczęły drżeć.

– Komu to nie w smak, to jeszcze zobaczymy, proboszczu. Mogę pozbyć się Vinietusy – zawiesił głos. – To znaczy spróbować – uściślił zaraz. – Ale jest ryzyko, że razem z mostem. Tego nie sposób całkiem wykluczyć.

Mina duchownego właściwie mówiła wszystko: dziesięć plag egipskich i jeszcze trzęsienie ziemi na dodatek. Na końcu zaś biskup-kretyn, który naukę ma w głębokim poważaniu, więcej łożąc na astrologusów niż na medyków i prawdziwych alchemików.

– Czyli chcecie most zniszczyć – stwierdził sucho, czując nagłe drapanie w gardle. Zalał dolegliwość resztką wina. – Sprawić, że zniknie, powiadacie. A dokąd?

Rycerz nadal pilnował swoich palców, żeby żaden mu nie uciekł.

– Całkiem zniknie, proboszczu. Do nigdzie.

Nie przyznał się księdzu, że w ogóle nie zamierza celować zaklęciem w Vinietusę. Cóż, na obecnym etapie zaawansowania technologicznego magia dalekosiężna miała sporo wspólnego z artylerią: dawała dużo huk i dymu, a potem zarówno czar, jak i pocisk z bombardy lądował, gdzie Bóg dał. W księgach magicznych Fillegan znalazł tylko jedną wzmiankę o precyzyjnym trafieniu zaklęciem znikania. Dotyczyła obiektu potocznie zwanego jabłkiem, i to bynajmniej nie tym kojarzonym z koronowaną głową, tylko owocu zwykłej kwaśnej dziczki, na płodach której – i tak już dostatecznie poronionych – nie żał było eksperymentować. Jednak autor nie chwalił się niezwykłym osiągnięciem na trzydziestu trzech stronach, tylko podsumował je kilkoma suchymi zdaniem. Co oznaczało, że krył się w tej sprawie jakiś haczyk.

Ale most z grasującym na nim Vinietusą to nie był mały haczyk, o którym autor zapomniał skreślić komentarza albo mu inkaust wysechł nie w porę. Marcus Vinietus to było haczyko wielkie na sto stóp, o krzyku donośnym, gotowe wkrótce ściągnąć na głowę rycerza równie wielkie kłopoty, gdy tylko o całej sprawie dowie się król.

– Wyboru nie ma – podsumował Fillegan. – Ja tam mogę w każdej chwili odjechać, ale wy zostanieie, most też pewnie będzie stał, jak stoi... Niech się ktoś zapomni albo w porę nie zostanie ostrzeżony... A jak demon zlezie z mostu i ruszy do miasteczka, żeby, dajmy na to, napić się wina? Potraficie to sobie wyobrazić?

Oblicze proboszcza świadczyło, że Doe dysponuje dostatecznie bogatą imaginacją, aby odmalować sobie ewentualne skutki takiej wycieczki.

– Jeszcze jedno – zaznaczył rycerz. – To eksperymentalna technika, księżę, jeszcze nieuklepana stuletnią tradycją. To dla mnie sprawa ambicji oraz honoru, ale różnie przecież może być. Jak mi się nie uda i Vinietus zostanie, gdzie jest, nie życzę sobie żadnych pretensji, znaczących chrząknięć i takich tam. Jasne?

W izbie gwałtownie się ochłodziło.

– A co, ja biskupa nie mam nad sobą? – stęknął klecha. – Nawet jak most zniknie, to będę mógł iść w zaparte, że ludziom się zwidziało albo diabeł coś zamieszał, jak to bywa... omamił podlec... Ale jak mi biskup na wizytację przyjedzie i zobaczy tego waszego Vinietusa, to nawracanie Maurów pewne. Musicie coś z tym fantem zrobić. Cokolwiek. Byle skutecznie.

* * *

Intuicja podpowiadała Filleganowi, że należy jak najszybciej opuścić Balisbury, wziąć nogi za pas albo i sromotnie uciec – tu każdy może sobie niepotrzebne skreślić, bo o jedno tej intuicji chodziło. Gdyby rycerz mógł to uczynić, natychmiast zacząłby biec i zatrzymałby się dopiero w Diederton na przedmieściach Londynu.

Rozum jednak nie pozwalał mu na pozostawienie kwestii Vinietusa do rozwiązania samej sobie albo proboszczowi. Była to sprawa reputacji i nie mógł jej zlekceważyć. Ledwie z trzaskiem zamknęły się za nim drzwi plebani, skinieniem palca przywołał wyrostka kręcącego się wokół kościelnych zabudowań. Nakazał mu powiadomić swego giermka, aby ten przyniósł zaraz na most kuferek pana. Potem

zaczął się zastanawiać, czy Duendain nie przywlecze zamiast magicznych artefaktów jakiegoś pudła z ubraniami. Ale że ulicznik już pobiegł, Fillegan spróbował wzbudzić w sobie zaufanie do rozumu giermka. No i nadzieję, że w jakimś błysku natchnienia dostrzeże rozwiązanie lepsze niż czar zniknięcia.

Wierzchowca nie wziął, bo po ostatnich wydarzeniach na moście jakoś stracił zaufanie do jazdy konnej. Nie dało się wykluczyć, że Vinietus większą urazę żywi do czterokopytnych niż do ludzi. W końcu jeździec zdołał uciec, a wnętrzności konia pewnie już dopłynęły do morza, chyba że wcześniej zostały pożarte przez ryby.

Aby skrócić drogę boskiemu natchnieniu, rycerz wybrał wędrowkę nie traktem wijącym się pośród pagórków, tylko powędrował na skróty, przez zarośla. Czoło oblewał mu pot, jednak genialna myśl jakoś nie chciała się pojawić. W takim stanie ducha dotarł do ostatniego wzgórza i przysiadł na zboczu sięgającym brzegu rzeki, na wprost mostu.

Niemal w tej samej chwili rozległ się dziki tętent i nieco z boku, gdzie na drodze czuwali strażnicy mostu, pojawił się jeździec. W rozwianych połach czarnego płaszcza wyglądał jak demon pędzący na doroczny zjazd pobratymców. Prawie stratował zbrojnych. Ci w ostatniej chwili odsunęli się mu z drogi, jednak ku zdumieniu Fillegana nawet nie próbowali go zatrzymać!

Tymczasem jeździec zbliżał się ku wieżom, jakby nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa, które tam czyhało. W powietrzu rozedrganym południowym żarem Fillegan dostrzegał już zarysy Vinietusa wyciągającego ręce ku konnemu. Dzieliło ich jeszcze ze czterdzieści kroków, cóż to dla śmigłego wierzchowca...

I wtedy w zagadkowej postaci rycerz rozpoznał... proboszcza Doe!

Rycerz odruchowo skreślił prawą dłonią czar Fetty zamrażający atakowany obiekt. Wolną lewą ręką wymachał efekt spowalniający, równocześnie wyzgrzytując zębami sen dla strażników. Biegł, czując, jak ogarnia go najpierw osłabienie spowodowane zużytą energią magiczną, później zaś pod ciemieniem zaczyna

pulsować potężniejący ból. Przypomniawszy sobie, dlaczego starzy magowie powiadają, że lepiej głód cierpieć, niż magii używać.

Zdażył dobiec, nim końskie kopyta znów sięgnęły ziemi. Również z uderzeniem podków o trakt złapał proboszcza za połę płaszcza i szarpnięciem zrzucił z wierzchowca.

Vinietus, na którego czary nie podziałały, przegarnął ręką powietrze, jednak nie zdołał chwycić konia, który zmarł na drodze niby posąg chyżości.

Fillegan odciągnął klechę nieporęcznego jak kłoda drewna. I dopiero wtedy krótką frazą rekapitulacyjną unieważnił wszystkie czary.

– Co mnie szarpiesz?! – stęknął Doe, odpychając ręce rycerza, strząsając je z siebie jak wściekły niedźwiedź. – A w ogóle skąd się tu wzięłeś? – Zrobił krok w stronę konia, w którego oczach widać było zastygłe, całkiem ludzkie zdumienie. Wierzchowiec niemrawo grzebnął kopytem, jakby konstatuując, że znów może grać rolę pięknego zwierzęcia słynącego z gracji.

– Przechodziłem. – Fillegan roześmiał się ochryple i przytrzymał proboszcza za połę. – Gdzie idziecie? Tam Vinietus was zagryzie, księżo.

Doe nadal mu się wyrywał, jednak dosyć słabo, gdyż efekt zamrożenia nie minął jeszcze całkowicie. Najbardziej zaś działał na głowę – pewnie stąd brało się mamrotanie klechy o ukrytym skarbie.

Tymczasem do strażników, budzących się właśnie z nagłej drzemki, dołączył giermek rycerza. Taszczył właściwy kufer, ten z magicznymi przyborami.

– O, nadchodzi Duendain – radośnie rzekł Fillegan. – No gdzie mi, kurna, uciekacie! – krzyknął, bo proboszcz wykorzystał moment nieuwagi rycerza i przysunął się do swego konia. Ten trącił go pytająco łbem. Doe już sięgnął po wodze...

– A, psiakrew! – zdenerwował się Fillegan. Nie bacząc, że takie stężenie czaru może klesze zaszkodzić, poczekał, aż ten wesprze się na koniu, i wtedy zamroził ich

niczym Degliano Pomponi bryłę czarnego marmuru. Tyle że sławny rzeźbiarz jak raz zamroził, to na wieki świata pozostawił, a rycerzowi biło w piersi gołębie serce. I jak już będzie po wszystkim, zamierzał rozdzielić tego maszkarona, po czym pozwolić żyć proboszczowi po proboszczowsku, a koniowi po końsku.

Tymczasem Duendain minął strażników i szybkim truchtem podbiegł do pryncypała. Oddał Filleganowi kufer. Podczas kiedy rycerz zajął się wyjmowaniem przedmiotów niezbędnych do rzucenia czaru na most, giermek podszedł do parującej mrozem rzeźby konno-duchownej i zaczął ją obmacywać.

– Tego jeszcze nie widziałem – stwierdził z podziwem. – Tak na śmierć zamrozić...

– Nie na śmierć, tylko na trochę – odparował Fillegan, nie odwracając głowy. – Jak mi będziesz przeszkadzać, dorzucę cię tam do kompletu, akurat będzie. Trzy stworzenia, no wiesz, trzy gracje. Tak właśnie nazwę tę kompozycję. Może się jakieś bestuarium skusi?

Duendain szybko wciągnął z powrotem do gęby słowa, które już zsuwały mu się z języka. Rycerz tymczasem wziął co trzeba i zrobił ze dwadzieścia kroków w stronę mostu, tam gdzie zatrzymał proboszczo-konia. Ustawił na utwardzonej drodze małą klepsydrę, chwilę patrzył na przesypujący się piasek, później zaczerpnął z zielonego naczynka sproszkowanej lawendy zmieszanej z kredą węglową. Zaczął sypać w poprzek drogi figurę najbardziej przypominającą ślimaka. Oczywiście jeżeli przyjąć, że ślimak może mieć czułki zawijające się akurat w symbole kabały.

Wreszcie Fillegan spojrział na klepsydrę. Tak, wciąż mieścił się w czasie. Zaczął wypowiadać zaklęcie.

Później spokojnie odszedł w stronę giermka, który obserwował go z zainteresowaniem.

– Zaraz się zacznie – zapowiedział rycerz. – Raz, dwa, trzy... teraz. – Efektownie pstryknął palcami.

Nic się nie wydarzyło. Słońce paliło coraz bardziej, a Duendain udawał coraz mniej, że jest poważnie zainteresowany przebiegiem eksperymentu...

– Trzy i pół... – warknął rozzłoszczony Fillegan.

W odpowiedzi niespodziewanie odwarknęła mu ziemia. Wrzasnęła. Zagrzmiała. Huknęła. Krzyknęła rozdzierająco, porażająco i rozpaczliwie.

W jaskrawym rozbłysku most razem z przyległymi wieżycami zniknął. Do nigdzie.

– No i po wszystkim – rzekł rycerz, oddychając ciężko. – Chwała ci, Panie na wysokościach – zaintonował. – A pieniądze daj nam tu, na ziemi.

Łupnęło przeraźliwym gromem i ziemia pod ich stopami podskoczyła.

– Już go diabli powitali – mruknął giermek. – Razem z prezentem.

* * *

„Do nigdzie” okazało się lekką przesadą.

Rozmrożony proboszcz mamrotał straszliwe przekleństwa, na przemian klął i bił się w pierś jakby w poczuciu winy. Co o rycerzu myślał koń prowadzony przez klechę za uzdę, tego Fillegan wolał się nie dowiadywać. Wystarczyło, że kiedy podszedł za blisko, zwierzę natychmiast capnęło go zębami. Odtąd podążał w bezpiecznej odległości od bydłęcia, dodatkowo zasłonięty swoim giermkiem.

I tak wyszli z za pagórków, a przed nimi rozpostarła się panorama Balisbury.

Która to panorama wyglądała teraz nieco inaczej niż przedtem. Bardziej niezwykle. Most bowiem, w całej swojej okazałości, z przysadzistymi strażnikami na końcach, wylądował w poprzek obok kościoła, niemal tarasując wejście i przygniatając wolną dotąd przestrzeń rynku ze straganami. W ten sposób jedyna wieża domu bożego zyskała nieoczekiwane dwie zbirowate siostry, brzydsze, bardziej krępe, pobłyskujące krwawymi ślepiami.

Gdyby proboszczów rozliczano za słowa i towarzyszące im czyny, Doe niechybnie wylądowałby w najstraszliwszym kotle piekielnego paleniska. Najpierw bowiem zaklął obrzydliwie, później rzucił się dusić Fillegana. Ten stał osłupiały, więc ręce klechy coraz mocniej ścisnęły gardło rycerza. Szczęściem Duendain zerwał dłoń szaleńca z szyi swego pryncypała.

Ksiądz opamiętał się zaraz. Na jego twarzy wykwitło nawet coś przypominającego nikły uśmiech. Usta proboszcza poruszyły się bezgłośnie.

„Oszałał – pomyślał Fillegan. – Zobaczył, jak karbunkuły włożą mu do zakrystii i doznał szwanku na umyśle”.

Wokół kościoła i mostu można było dostrzec ludzi w osłupieniu gapiących się na tę nieprawdopodobną instalację.

Nagle Doe krzyknął i rzucił się w stronę swojej świątyni. Fillegan z giermkim podążyli za nim, ale nie zdołali dogonić szaleńca. Jego po równi napędzały złość i strach, a ich tylko lekka obawa i świadomość, że pchają się w niebezpieczeństwo, którego klecha w amoku nie dostrzega. Rycerz mógł co prawda użyć czaru Fetty, jednak wolał tego nie robić. Nie chciał ryzykować, że po odmrożeniu Doe po kres swoich dni będzie przypominał bełkotliwą kapustę. W końcu miał nadal głosić Słowo Boże, a to zobowiązywało.

Złapali go dopiero na rynku, gdzie proboszcz napotkał barierę gapiów. Mocno pochwycili go za ramiona. Jednocześnie Fillegan rozejrzał się za strażnikami. Podczas kiedy Duendain usiłował trzymać szaleńca, rycerz rozkazał zbrojnym usunąć wszystkich ludzi z placu. A jeszcze lepiej wyprowadzić poza miasteczko, bo nie wiadomo, co się będzie działo, kiedy podejmie próbę zaprowadzenia porządku.

Mieszkańcy Balisbury popatrywali na niego wrogo, bo przecież na świętego rycerza nie wyglądał, nosząc się jak uniwersytecki profesor. A jak na maga był ich zdaniem... no, przecież właśnie się wykazał, sadzając most obok kościoła niby

fantazyjny portal. Tłum więc szemrał, strażnicy wahali się, czy w ogóle należy dalej gadać z tym tu nieudacznikiem, a most jak stał, tak stał.

Nieoczekiwanie sytuacja się zmieniła, choć trudno orzec, czy akurat na korzyść Fillegana. Tłuszcza zaszemrała gwałtowniej, ktoś krzyknął przenikliwie, w stronę mostu wyciągnęły się ręce... Fillegan podniósł wzrok – i oniemiał.

Na moście zarysował się siny, ciemniejszy opar, w którym można było, choć z trudem, rozpoznać niejakiego Marcusa Vinieta. Starożytny rzymski inżynier otrząsał się z głębokiego snu lekko jeszcze oszołomiony.

– Wszystkich na błonia! – zakrzyknął rycerz i tym razem strażnicy nie potrzebowali dalszej zachęty. Pod pretekstem pomagania ludności miasteczka sami zaczęli uciekać z niebezpiecznego miejsca.

– Duendain!

Giermek natychmiast podbiegł wraz z wyrywającym się proboszczem.

– Kufer! A wy razem z ludźmi uciekajcie. Jakby co, gadaj, że od magii klecha z lekka nie ten tego, zaczadzony, rozumiesz? Niech mi nie przeszkadza! – zarządził pośpiesznie Fillegan, łapiąc skrzynkę z magicznymi przyborami. – A jakby mi się nie powiodło, rozsyp moje prochy na polach wokół Wake, choćby ukradkiem. Bo inaczej straszyc cię będę, hultaju, rozumiesz?

Uzbrojony w magiczne narzędzia odczekał, aż gawiedź spłynie krętymi uliczkami z rynku, w czym wydatnie pomogły ryki całkiem już przebudzonego Vinieta. Demon stanął na moście, niemal dorównując wieży kościoła. Musnął ją nawet pieszczotliwie łapskiem, jakby oceniał nowy nabytek. Rycerz zaklął.

Popatrując na most i ducha rzymskiego inżyniera, doznał naraz olśnienia – oczywistego, jak to właśnie z przebłyskami geniuszu bywa. Nad rzeką popełnił banalny błąd: żeby nałożyć czar zniknięcia na podłużny most, trzeba było opatrzyć znakami oba jego końce, inaczej niż przy zniknięciu kwaśnego jabłka, gdzie czar

działał sferycznie. To tylko paralizujący strach przed przejściem po moście w obecności Vinietausa przesłonił Filleganowi ten oczywisty fakt.

Teraz jednak demon-inżynier mógł sobie w górze chwytać ptaki, nie konie, a fundamenty mostu stały się dostępne. Przy odrobinie sprytu można było wykreślić niezbędne znaki i odesłać Vinietausa donikąd. Była to operacja niepozbawiona ryzyka, jednak duch miał oślepiająco triumfalny nastrój niby tokujący głuszec. Łatwo mógł przeoczyć szarą myszkę, a nawet skulonego rycerza u podstaw wież...

Rycerz przeżegnał się znakiem krzyża – ostatecznie zamierzał stosować magię w cieniu kościoła, więc zjednać sobie przychylności Najwyższego nie zawadzi – po czym zaczął się skradać pod most.

Pierwszy znak usypał bez problemów. Gdy szedł na palcach ku drugiej z wież, posłyszał gniewne pomruki Vinietausa. Przez most przebiegło drzenie, jakby duch podskoczył kilka razy nerwowo. Podstawa kościoła zatrzeszczała.

„Wyczuwa magię – pomyślał Fillegan, czując, jak po plecach cieknie mu strużka zimnego potu. – Psiakrew!”.

Pospiesznie usypał drugiego ślimaka, spojrział na klepsydrę. Wciąż mieścił się w limicie czasu dla dwóch znaków, ale zostało go już za mało, aby wypowiedzieć formułę z jakiegoś bezpiecznego miejsca daleko stąd. Wywołał więc lekki efekt opóźniający, potem pospiesznie wyklepał formułę niczym głodny zakonnik poranną jutrznię. Wreszcie, odkopnąwszy na bok zawadzający mu kufer z magicznymi artefaktami, rzucił się do ucieczki.

Nieoczekiwanie u wylotu jednej z uliczek zobaczył wrzeszczącego Duendaina.

– Uciekł, panie! – wydyszał. – Doe wyrwał mi się, uciekł i zniknął!

W tym akurat giermek nie miał racji. Dokładnie w tej samej chwili kilka uliczek dalej pojawił się rzeczony proboszcz. Zmierzał dokładnie tam, skąd próbował uciec rycerz! Pędził ku tej z wież, która jeszcze niedawno stała przy rzece od strony miasteczka.

Fillegan spostrzegł go ledwie kątem oka, zatrzymał się na jeden oddech i krzyknął ostrzegawczo:

– Wracaj! Most zaraz zniknie!

– Formuły! – odkrzyknął proboszcz. – Prawdziwe formuły wmurowałem w skrynkę u podstawy wieży! Trzeba je odzyskać!

„Odzyskać! Dobre sobie” – pomyślał wściekle rycerz i potruchtał ku Duendainowi, gorszącymi słowy przeklinając kłamców oraz oszustów.

Tymczasem Vinietus zauważył wreszcie tę interesującą pogawędkę biegaczy i wtrącił do niej swoje trzy grosze. Wyciągnąwszy łapsko, chwycił klechę niby rzadki okaz insekta. Nie zrobił mu krzywdy, strącił na drugą, otwartą i ustawioną poziomo dłoń. Wtedy delikatnie ją zamknął. Kwiczący ze strachu proboszcz wyglądał spomiędzy palców, wołał o pomoc, podczas kiedy demon podnosił sobie pochwycone dziwo do oczu...

W tej samej chwili Fillegan dobiegł do poszarzałego na twarzy giermka. Odwrócił na moment głowę... i wtedy jaskrawy błysk niemal przewiercił mu oczy.

Formuła uaktywniła się z całą podwójną mocą.

* * *

Rycerz przypatrywał się pustej przestrzeni, tam gdzie jeszcze tak niedawno stał ciężki most. Teraz dopiero dotarło do niego, że pod tą budowlą zginęło kilku sprzedawców zgniecionych razem ze swoimi świątkami, literaturą pobożną i wyrzezanymi z drewna kiczowatymi Chrystuskami o twarzy tutejszego proboszcza. Wszystko to w miazdze grubej na dwa palce zalegało plac wokół bożej świątyni.

– Szkoda, że nie zdobyliśmy prawdziwych receptur – westchnął z żalem Duendain.

Rycerz pokręcił głową.

– Może i lepiej, Dun. Pomyśl, co by było, gdyby taka formuła dotarła do króla. Złoto, którym nam płacą, jest wiele warte, póki go mało. To samo z karbunkułami. A gdyby jednego i drugiego było tyle, co kamieni przy drodze? Myślisz, że jakiś karczmarz by nam tak chętnie udzielał gościny? – Fillegan zaśmiał się, z ironią spoglądając na swego giermka. – A potrzeby króla zwykle przekraczają jego rozsądek.

Zerknął raz jeszcze na pole niedawnej bitwy magicznej.

– Ciekawe, dokąd zniknął tym razem – powrócił myślą do Vinieta i mostu. – Jak myślisz, zacny Duendainie Capodimonte?

Giermek podrapał się po głowie, zmierzwił włosy, popatrzył w zadumie na kościół przed nimi, który nadal tkwił na rynku jakby nigdy nic.

– Tam, gdzie jego miejsce – orzekł wreszcie.

Na to rycerz tylko prychnął. Uwielbiał takie konkretne odpowiedzi.

– To znaczy, giermku mój niejasnomówiący?

– No, do piekła, a gdzieżby! – odparł Duendain z wilczym uśmiechem. – Będzie miał diabeł podnózek. Towarzystwo też mu się pewnie przyda.

Podążając do zajazdu, Fillegan rozmyślał, czy Marcus Vinieta znajdzie w piekle jakiś lodowiec, którym mógłby poprowadzić bity rzymski trakt.

Na wszelki wypadek postanowił tym samym czarem posłać mu mały, ośnieżony alpejski pagórek, jak już wrócą na kontynent.

A proboszczowi, żeby się nie poczuł zazdrosny, jakiś czerwony kamyczek.

Oficyna wydawnicza **RW2010**

Na każdą kieszeń
na każdy czytelnik

Nie całkiem poważna fantazy o rycerzu bezkonnym, który zaczął od dorabiania pasowaniem zwłok, zrobił krótką, ale intensywną karierę jako świecki inkwizytor, by wreszcie oddać się swemu prawdziwemu powołaniu: magii



Nie ma nic gorszego niż bolesny brak profesjonalizmu. Co może zrobić mag-pogodnik, który nie umie zapanować nad aurą? Może tylko wylecieć z roboty u malarza Astrogoniusza i wpłatać się w kłopoty, które zaprowadzą go najpierw na dno statku, potem wydźwigną do pałacowych kajut, by znów strącić w piekielne otchłanie.

Dobre ebooki
w dobrej cenie

szukaj na

www.rw2010.pl

lub w e-księgarniach

RW2010

REWOLUCJA WYDAWNICZA!